

istino - 21 Sch.

Belgium - 62 BF

Canada - 2.10 \$ CAN

France - 10 F

Germany - 4 DM

Italy - 2.260 L

United Kingdom - 1 £

USA - 1.85 \$

PL ISSN 0475-6347

Nr indeksu 368563

Y 9012 C

Ukazuje się od 16 maja 1954

Pani rām

NR 13-14 (2369-2370) 26 III - 2 IV 2000
CENA 1,50 ZŁ





Czasami, w trakcie podróży, nie mogę oprzeć się myśli: „a czego to natura nie wymyśliła?”.

Każda istota, której przyszło żyć na ziemi - jeśli przetrwała - musiała dostosować się do otoczenia. Niekiedy uciekając się do oszustwa, udając że jest czymś innym niż jest naprawdę, lub ukrywając się poprzez zaskakującą mimikrę, czasami zaś tworząc broń do bezpardonowej walki z wrogami.

Pomysły natury (część 1)

DZIWAŁO Z KOLCAMI

Żyjąca w buszu kolczasta jaszczurka-diabeł, po łacinie *Moloch Horribus*, ucieka się właśnie do oszustwa. Mielśmy naprawdę dużo szczęścia, że udało się nam ją spotkać, zwłaszcza, że kolorem idealnie dopasowuje się do podłoża. Na pierwszy rzut oka robi wrażenie jakiegoś minismoka z bajki. Jej skórę pokrywają różnej wielkości kolce, wypustki i wyrostki, które upodabniają ją do kolczastych roślin buszu, a zarazem zniechęcają innych do atakowania. Wygląda wszakże bardzo groźnie i trudno aż uwierzyć, że w rzeczywistości jest to bardzo spokojne, wręcz flegmatyczne zwierzątko, któremu nawet nie chce się specjalnie poruszać.

ŚWIAT NIELOTÓW

Na południowym krańcu Australii jest wyspa Phillip Island, która słynie z tego, że żyją na niej najmniejsze pingwiny świata. Każdego dnia, od tysięcy lat, z niespotykaną wręcz punktualnością - tuż po zachodzie słońca - pingwiny wychodzą na brzeg. Wracają po długim, niekiedy kilkutygodniowym okresie połowów, aby chwilę wypocząć w swoich norkach wydłubanych na stokach pagórków. Są bardzo ostrożne; boją się ataku innych ptaków, więc wychodzą na plażę tylko grupkami, gdyż wówczas mają większą szansę, że mewa złapie nie jego, ale kolegę. Czekają więc cierpliwie

w wodzie, a gdy już uznają, że grupa jest wystarczająco liczna... ruszają. Za każdym jednak razem musi być ten pierwszy pingwin i pierwszy krok. Zwykle jest to jeden z tych bardziej niecierpliwych, bądź odważnych - a jak takiego nie ma, to potrafią wypchnąć któregoś spośród siebie.

Po pokonaniu kilku metrów plaży, gdy znajdą się pod osłoną roślin, szybko szukają swoich norek, bo tylko tam naprawdę czują się bezpiecznie. Niestety, wśród tych sympatycznych nietotów również dochodzi do nieporozumień i od czasu do czasu rozlegają się awantury o zajętej komórce. To niesamowite misterium trwa ponad godzinę i aż żal, że się kończy, choć wieje zimny i przenikliwy wiatr... Po drugiej stronie wody jest już Antarktyda.

Nie sposób natomiast podglądać w naturze innego, bardzo ciekawego nietota - kiwi, który żyje tylko w Nowej Zelandii. Jest bardzo rzadkim stworzeniem i w dodatku nocnym. Nauczył się ukrywać również przed człowiekiem, dzięki czemu przeżył - w przeciwieństwie do swojego bardzo bliskiego kuzyna - moa. Tak więc kiwi oglądamy w sztucznym środowisku imitującym warunki naturalne w jakich żyje, a moa - już tylko w muzeum. Znakomicie skonstruowana replika tego cudacznego strusia znajduje się w Auckland. Stojąc pod tym ponad 3-metrowym nietotem, największym

ptakiem jaki żył na ziemi w czasach nowożytnych, aż trudno uwierzyć, że taki gigant faktycznie istniał. Na wyspach Nowej Zelandii nie miał naturalnych wrogów, gdyż aż do przybycia owiec i szczurów wraz z europejskimi kolonizatorami, nie było tu ssaków. Mógł więc sobie potężny moa spokojnie chodzić, jeść i rosnąć, chyba że stał się łupem jedyne go tu ssaka - człowieka. Ostatniego moa zjedli prawdopodobnie Maorysi, już po pojawieniu się europejskich odkrywców.

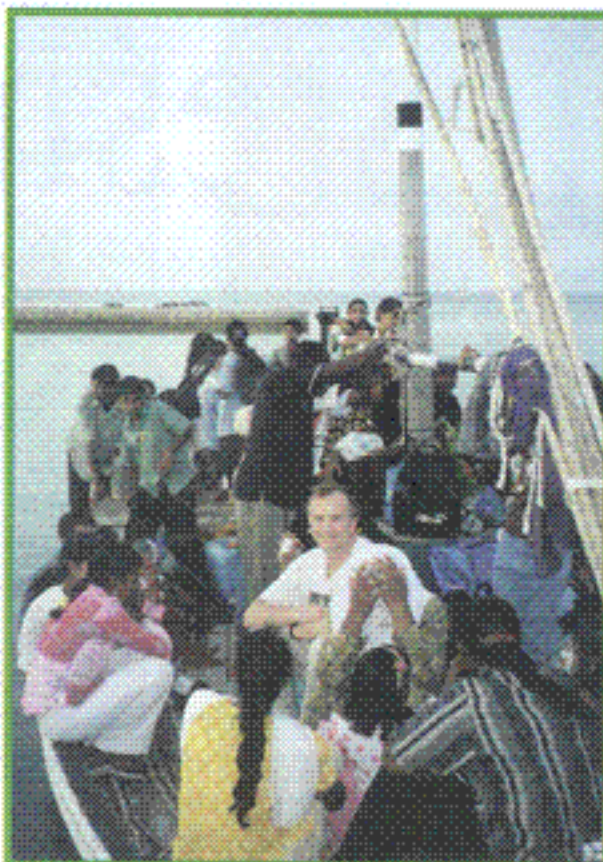
Tak więc obecnie emu, wraz ze strusiem afrykańskim mają zaszczyt być największymi ptakami świata.

NIEBO POD ZIEMIĄ

Do 1887 roku jaskinie Waitomo na Wyspie Północnej w Nowej Zelandii, były znane tylko zamieszkującym ten teren Maorysom. Wówczas to miejscowy wódz Tane Tinorau pokazał je angielskiemu badaczowi Fredowi Mace, który w swoich relacjach nie tylko zawarł naukowe opisy tego kuriozum natury, ale również zachwył nad tym co zobaczył. Dziś jaskinie są jedną z głównych atrakcji turystycznych tego kraju, zarówno ze względu na ich naturalny urok (stalaktyty i stalagmity), ale przede wszystkim z powodu świecących robaczek. Właściwie nie są to robaczki, lecz larwy muszek, których świecący i lepki odwłok zwabia ofiary.

Larwy, przyczepione jedna do drugiej, związają z pulapów grot migocząc w ciemnościach jak małe gwiazdy na firmamencie. Są ich miliony. I kiedy płynie się łodzią po podziemnej rzece, w absolutnej ciszy i zupełnych ciemnościach, ma się wrażenie, że jest się pod bezkresnym, gwiazdzistym niebem, na którym widać Mleczną Drożę, odległe planety i niezliczone konstelacje gwiazd... Schodząc do jaskini nie spodziewaliśmy się aż tak spektakularnego widoku. Nie mogliśmy oprzeć się wrażeniu, że ponownie znajdujemy się nad kraterami Henbury na australijskiej pustyni, gdzie przed milionami lat spadł meteor. Pustkowicie i przejrzystość powietrza sprawiają, że widać tam gwiazdy jak w planetarium i może jeszcze lepiej. Świecące robaczki w jaskiniach tworzą doskonałą tego miniaturę.

Wkrótce po odkryciu jaskiń przez Europejczyków, tereny te zostały zabrane Maorysom. Traktat z Waitangu z 1840 roku, który dawał autochtonicznym wspólnotom prawo własności w zamian za uznanie zwierzchnictwa Korony Brytyjskiej, został pogwałcony i dopiero w 1975 roku Parlament ponownie zrewidował jego warunki. Powołany wówczas został specjalny trybunał, który miał za zadanie rozpatrywać roszczenia maoryskich plemion bazując na tym, co zostało im przyznane 135 lat wcześniej. Nie wszystkie tereny mogły być jednak zwrócone, w związku z tym w 1994 rząd nowozelandzki zaproponował jednorazową rekompensatę w wysokości miliarda miejscowych dolarów, płatną w ratach przez dziesięć lat. Jaskinie ze świecącymi robaczkami wróciły „w naturze” do poprzednich właścicieli. Poprzednich, gdyż w przeciwieństwie do Aborygenów z Australii, Maorysi też byli emigrantami. Przybywali kolejnymi falami z Polinezji na przestrzeni kilkuset lat, a każda następna „fala” musiała walczyć o miejsce dla siebie. Jedną z ostatnich przybyła zaledwie 300 lat przed pojawieniem się tu żaglowców Abela Tasmana, który w 1642 roku szybko opuścił wyspy po



tym, jak kilku członków jego załogi zostało pojmanych i zjedzonych.

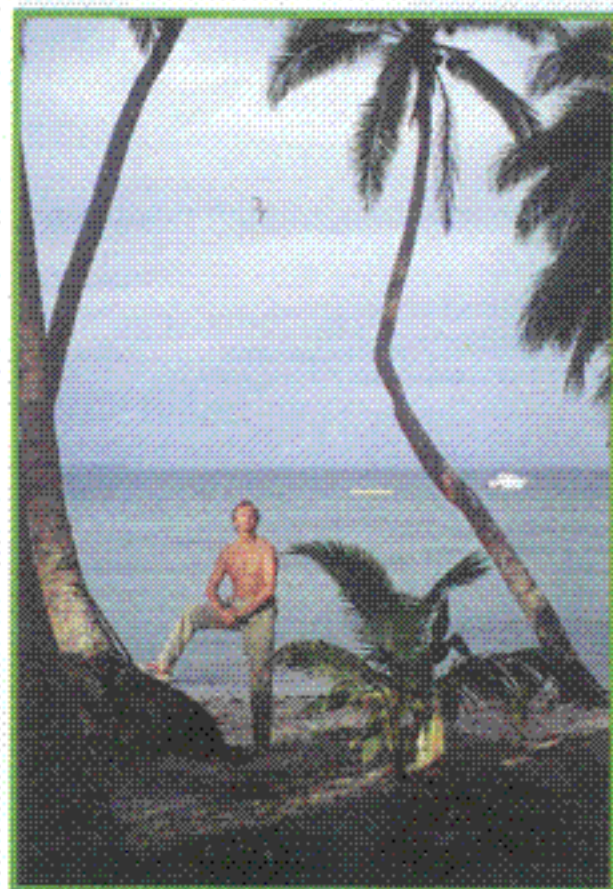
ŚMIERDZĄCE PIKIELKO

Wraz z procesem oddawania ziem odradzać zaczęła się kultura maoryska, a rodziny które wcześniej - nawet kilka pokoleń wstecz - zerwały kontakty ze swoimi wspólnotami, zaczęły ponownie przyznawać się do swych korzeni. W Rotorua, w Instytucie Sztuki i Kultury Maorysów, który został założony m. in. za pieniądze pochodzące z rządowej rekompensaty, nie tylko można obejrzyć bardzo ciekawe przykłady rękodziela artystycznego plemion z tego regionu, ale również prowadzi się tam warsztaty szkoleniowe. W trakcie zwiedzania instytutu zadziwiła nas bardzo scenka w pracowni rzeźb drewnianych - wśród kilku osób wydłubujących dłutkiem misterne ornamenty w drewnie, poza majstrem, tylko jeden z czeladników był Maorysem, pozostali to „białe twarze”. Nigdzie na świecie nie widzieliśmy, aby przedsta-

wiciele rasy kolonizatorów pracowali na rzecz potomków autochtonów jako ich najemna siła robocza!

Drewniane rzeźby i płaskorzeźby są chyba najbardziej charakterystycznym elementem materialnej kultury Maorysów. Tak przyozdabiane były ich domy i bramy prowadzące do wiosek. Bardzo cenione i kultywowane są również pieśni, które opowiadają historię plemion, jako że dopiero misjonarze angielscy spisali język maoryski. Są piękne, a wykonywane przez folklorystyczne zespoły w ludowych strojach pozwalają lepiej poznać miejscową tradycję. Będąc w Rotorua obejrzelismy jedno takie przedstawienie. Zakończyło się ono tym, z czym maoryski folklor jest najczęściej kojarzony - bojowym pokazaniem języka. My nie musieliśmy tego robić, wystarczyło trącać się nosami.

Największą jednak atrakcją Rotorua są gorące źródła siarczanowe, których nieprzyjemny zapach, wręcz smród czuć w całym mieście



i okolicach. Już pierwsze plemiona Polinezyjczyków, które przybyły na te tereny w czternastym wieku, potrafiły je wykorzystać do gotowania. Wystarczy wykopać dziurę w ziemi, aby mieć naturalny piec (dla nas też tak gotowano). Z czasem zaczęto również doceniać znacznie kąpiele, a polinezyjskie łaźnie stały się sławne na całym świecie. Trudno uwierzyć, ale w minionym wieku kuracjusze potrafili płynąć z Anglii trzy miesiące w jedną stronę, aby się tu kąpać. W miejscach, gdzie gorąca woda szuka ujścia, rozciąga się niesamowity krajobraz. Żółtozielonkawa breja bulgoce, paruje, i co chwila z którejś strony rozlegają się syki i wybuchają gejzery z gorącą wodą. Ot, takie małe piekielko. Największy gejzer Pohutu zwykle tryska na wysokość 20 metrów mniej więcej co godzinę. Erupcja trwa około 10 minut, ale pewnego razu bił ponoć przez 15 godzin.

(c.d.n.)

Tekst ALICJA KOŁODKO
Zdjęcia GRZEGORZ KOŁODKO